№ 20. Warszawa, dnia 16 (4) Maja 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

A. Lange.

SONETY.

IV.

Kwiecie mój, życia mego jasne źródło rojeń,
Ty, coś mi zostawiła powiosenne wonie,
Jakie niosą fijołki—i bzy—i lewkonie,
Ty, coś mi objawiła świat czystych upojeń.

Duszo świeża, a pełna ciszy i ukojeń,
Krynico, w której duch mój jak w Świtezi tonie,
Kąpał się, by straconą odzyskać harmonię,
W tobie się kołysały bóle mych rozdwojeń.

Kwiatku mój, cichy kwiatku, dzięki ci! Twój srebrny
Głos—twe błękitne oczy—były mi pryzmatem,
Przez który mi promieniał blask tęczy podniebny..

O jakże mało kwiatów—mało róż i lilii
Miałem w życiu tem dusznem, co mi głowę chyli..
Lecz tyś była najświętszym mego życia kwiatem.

V.

Frunęła mi, frunęła najmilsza ptaszyna!
Sam niebaczny otwarłem jej klateczki pręty
I uleciał mój anioł obrażony—święty —
I nic mówić nie mogę! Moja—moja wina!

W szkarłaty już odziewa zieleń swą kalina—
Już pada z gęstej lipy liść wiatrem pomięty!
Jesień—jesień! W mem sercu jesienne lamenty!
Biada sercu, co nigdy łez nie zapomina.

I nieraz, gdy mi czaszka od rozpaczy pęka
I gdy przeklinam gwiazdy własnego żywota—
Nieskończona, bezdenna mię dręczy tęsknota:

I duch mój przed twem widmem jak w kościele klęka,
I roję, jakby inny dzisiaj był przy tobie —
Ale wiem, że to mara, co usnęła w grobie.

VI.

Jeśli nie znam wesela, za to znam co smutki—
A wierz mi—więcej smutku w życiu niż wesela:
W smutnym może lepszego znajdziesz przyjaciela,
Niźli w tym, co się śmieje: bo śmiech bywa krótki.

W przeciwne mają strony płynąć nasze łódki;
Los na długo—na zawsze może nas rozdziela—
Przed tobą nowe drogi—nieznane wyściela;
Mnie daje nowych żalów, nowych łez pobudki.

Płyń! Gdy ci będzie w życiu jasno i wesoło,
Jeśli ci świat przyniesie kwiaty i uśmiechy—
Zapomnij mnie—ja nigdy nie żyłem na świecie!

Lecz, gdy smutek cię ujmie w swe żelazne koło,
Przypomnij sobie o mnie; chociaż ból mię gniecie —
Może znajdę dla ciebie jaką pieśń pociechy.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Takie małe, bezrozumne stworzonko, nie chciało nic rzucić na marne, ani cząstki siebie i swego życia — podjęła głucho, przerywając, a upornie wpatrując się w pajęczynę uczepioną rękawiczki. — Nie chciało nic strwonić, nic utracić, gdy tymczasem człowiek, niekiedy, sam... gdy nawet ja... ja.

Głos jej ucichł, złamał się, w gardle zdławił; pierś poczęła tchnąć tłumionem łkaniem, powieki nabrzmiewać łzami.

W duszy słyszała tylko rozdzierające: „a ja co czynię ze swem życiem? i co mam? co mam?! Dobrześ mi ty przepowiedział!... I cała drżąc, ledwo utrzymać się mogła na nogach, lecz stała bez najmniejszej świadomości, że stoi — że czeka słowa, że ramiona wyciągnąć pragnie z rozżaleniem i tęsknotą.

Janusz bladł i czerwieniał. Wszystkie tamy woli poczynały w nim się zrywać, a szał wrzeć.

I gdy tu źrenice ich się spotkały, spojrzenie to było nakształt iskry przy wybuchu.

W oka mgnieniu znalazła się na jego piersi, oddech palący czuła przy skroni, szept namiętny w uszach.

— Ja kocham cię bez pamięci, ty nie wiesz jak! nie wiesz jak!.. Ja cię nie oddam, nie odstąpię!...

Przez sekundę nie wiedziała co się dzieje, lecz upajała się rozkoszą nieznaną.

— To szaleństwo! szaleństwo! — szepnęła jednak po chwili przez zamglone oczy, wpół rozchylone usta. — Szaleństwo!

— Nie! tu gra o całe życie! Ty będziesz moją! musisz być moją. Ado! ty moją!

Teraz ona otworzyła oczy przytomnie i trzeźwo, i natychmiast wysunęła się z uścisku.

Jego ramiona opadły. I nagle spojrzał tak głęboko i posępnie w jej twarz, jak gdyby mimo szału upojenia, odrazu mierzył grozę i zniszczenie, jakie rozpętana w nim burza przynieść może; jak gdyby przytem odczuwał strach przed kruchością i ułudą tej istoty, jak ogień chłonącej, lecz wymykającej się również, jak zwodnicze ogników płomyki...

Po chwili znów szli obok siebie pod wyniosłem sklepieniem starych, olbrzymich drzew, w jasność nieba zapatrzonych. I znów milczeli; ale dusze ich były pełne całkiem odmiennych dźwięków, rozdźwięków, ech i gwarów.

Cisza zalegała wokół, jak przedtem. Rozlegał się tylko szelest i szmer pod ich stopami, a powiew lekki, jako o zachodzie przeciągając górą, strącał z gałęzi nowe na ziemię liście, które spadały jak wielkie, pośnięte motyle, z westchnieniem.

X.

Oroński był w położeniu człowieka, który odurzając się i rozpalając własnym ogniem, nie pojmuje by równego wzniecić nie zdołał.

Człowiek w miłości takiej nie jest właściwie pozbawionym chwil jasnego widzenia i odczucia rzeczy. Lecz w niezmiernem podnieceniu, przedewszystkiem wierząc w ogrom własnej siły, wszystko na sobie buduje, jak wogóle zapaleńcy. Dla takiego nie ma braków, niedostatków, wątpliwości; zmiata je chęcią, by nie istniały, i nadzieją, że otrzyma czego pożąda. Gdy zaś uczucie dojdzie do tego, że poczyna brzegi serca przepełniać, i w wyznaniach się wylewać, a nadomiar z pewnemi wrażeniami zmysłowemi się łączyć, wówczas daje samo przez się tyle rozkoszy i upojenia, że bystrość sądu i wzroku usypia; tem bardziej, że na przedmiot swych uwielbień w każdym razie wywiera pewien urok i wpływ, który przynajmniej refleksa uczuć i uwielbień wywołuje. Ztąd w ludziach, którzy kochają owa łatwość do oszukiwania samych siebie, do brania jakoby zwierciadlanych odbić własnych płomieni, za sam ogień równej miary.

Złowróżbne wrażenie trwogi, jakie przejęło Janusza na chwilę, przeminęło na razie pod wylewem radości i ulgi, płynącej ztąd, że zakończył wahania i walki, że wyznał swą miłość i, że nawet miał już w ramionach tę, którą kochał. Przez ostatnie miesiące, od chwili, gdy poznał jak głęboko wpiła mu się w serce, dusza jego była widownią upornej i ciężkiej walki. Chciał wytrwać na drodze obowiązku, przy słowie danem narzeczonej; a namiętność uświadomiona ogarniała go coraz gorętszym płomieniem, krusząc dzień za dniem siłę oporu, podsuwając coraz to nowe dowodzenia w myśl swoich pragnień.

Czego spodziewać się od serca Ady, nie wiedział jasno. Gdy wyjechała, nie wracała, nawet znaku życia nie dając, mniemał istotnie, że ze swej strony postawi zapory i z innym się zwiąże i pogrążał się to w posępnej trwodze, to w apatyi połączonej jednak z pewnem zadowoleniem moralnem, które dawała myśl, że jakkolwiek bez własnej zasługi, wiernym sobie i zasadom pozostanie.

Ale gdy ujrzał ją niespodziewanie po powrocie, gdy na domiar w tem krótkiem zetknięciu na dworcu, z oczu jej tyle wziął nowego ognia, wszystko prysnęło. Miłość przygłuszona oddaleniem i oporem, wybuchała. Począł odczuwać nastrojem całego jestestwa, że pokonać jej nie będzie zdolny.

I wśród utarczek, jakie jeszcze ze sobą toczył, coraz mniej trzeźwo rozumował, zapadając w stan, w którym ostatecznie na ślepo ulega się parciu sił, mocniejszych od zasad woli.

Przeto fakt spełniony w każdym razie dał mu pewną ulgę, jako wyzwolenie z wahań, naturze jego przeciwnych. Doświadczał tylko szczerej, głębokiej przykrości na myśl o zawodzie, jaki sprawi pannie Maryi. Ale zbyt wyłącznie upajały go egoistyczne miłosne uniesienia, by zastanawiać się nad jej bólem z należytą doniosłością i postępowanie swe widzieć we właściwem świetle. Zresztą, bezwzględnie pochłonięty przez jedno uczucie, byłby wprost za uchybienie honorowi i uczciwości poczytywał sobie to, gdyby był przysięgą wiązał się z inną, choćby kobietą, która miała poprzednio jego słowo.

Gotów był winę swą przyznać przed całym światem, pannę Roger osłaniać przed wszelką złośliwością ludzką; lecz w przekonaniu swem nie powinien był szlachetnemu jej sercu odpłacać kłamstwem i obłudą.

Takiemi były jego zapatrywania i uczucia, w myśl których nadal działać zamierzał. Lecz okoliczności zaraz na wstępie pokrzyżowały jego kroki.

Gdy powrócił do Mirowa, zastał pana Roger mocno chorym i ze względu na jego nadwątlone zdrowie, które budziło przy każdem pogorszeniu poważne obawy, musiał milczeć i rzeczy pozostawiać w dawnym kierunku.

Gdy zaś wymiarkował, iż nie prędko będzie mógł do Warszawy jechać, napisał do Ady list, tłómacząc położenie.

List ten wrzał uniesieniem i zapałem. Oroński powtarzał wprawdzie: „ty już nie powiesz mi „szaleństwo!" nie powiesz mi nigdy," lecz szczerze nie przejmował się żadnemi obawami.

Ada czytając, przedewszystkiem chwytała ogniste słowa jego uczuć. Następnie wzrok zatrzymała nie na powyższem zdaniu, lecz na innem, mianowicie: „wiem jaką wagę miało moje wyznanie, i wiem, że natychmiast powinienem zwrócić pierścionek narzeczonej, a stanąć przy tobie." Tu jej uwaga zahaczyła się, a radość i duma jaśniejące w rysach, ustąpiły miejsca zastanowieniu.

„Zwrócić pierścionek narzeczonej" — oczekiwała tego, i byłaby się czuła dotkniętą słów tych nie znalazłszy. A jednak gdy pomyślała teraz, że przeziera przez nie wyraźny zamiar przelania praw do tamtej na nią, że zerwanie z panną Roger w następstwie ją zwiąże nieodwołalnie, stanęła przed tym porządkiem rzeczy, jako przed czemś nieprzewidzianem.

I doświadczyła czegoś nakształt strachu. Co bowiem czuła wyraźnie, to realność siły, która mogła ją wziąć w swoją moc i posiadanie, i powiedzieć na wszystko: klamka zapadła. I tego się zlękła.

Wychowana bez kierunku i hamulców, nie mając w sobie ani gruntu, ani wyrobionej woli, nie kłamała ona właściwie nigdy ani sobie, ani ludziom, jeśli kłamstwem nazwiemy tylko akt świadomy, rozmyślny i celowy; lecz powodowana jedynie wrażeniami i popędami przejściowemi, ciągle zawodziła i siebie i innych, albowiem zmienna, chwiejna i bezładna, bez żadnego poczucia obowiązków i chęci krępowania się nimi, tonęła w wieczystym odmęcie sprzecznych pragnień i obaw, choć zawsze była niejako w zgodzie ze swym nastrojem, lub porywem danej chwili.

Teraz trwała w przekonaniu, że kocha Janusza. Odurzała się i rozmarzała jego miłością. Przyznawała, że na zasadzie jej postępowania mógł wszelkie budować nadzieje, i poprostu nie mogła wyśliznąć się sile wrażeń, które ją obejmowały; lecz mimo radości płynącej bądź z zadowolenia ambicyi, bądź z uciechy serca, czuła jakiś brak w duszy i ogromną rozterkę, na podobieństwo głuchego niepokoju.

Dość, że w odpowiedzi zaledwie kilka słów następujących zdołała nakreślić:

„Rozumiem cię zupełnie i wcale nie wymagam, byś w tej chwili zrywał z narzeczoną. Nie myśl o żadnych walkach, używajmy szczęścia. Myśl raczej o tem, abyś prędko, prędko mógł tutaj się dostać."

A potem, nie uśmierzywszy jeszcze owego wewnętrznego niepokoju, przez instynkt zapragnęła z zewnątrz szukać światła. Ujawnianie bowiem uczuć i myśli w tej zaćmionej duszy nieraz odbywało się przez odbicie cudzych, i przez porównania.

Poczęła tedy przyzostawać czasem przy ciotce i ją wyprowadzać na opowiadania z młodości i życia. Lecz wszystkie wspomnienia pani Męckiej były charakterem swym niezmiernie dalekiemi od jej własnych uczuć i poglądów. Słuchając doznawała wrażenia, że ciotka i ludzie jej współcześni chyba stali na miejscu bogobojni, cisi i losom poddani, na podobieństwo drzew i gór, stojących przy drodze, przez którą pociąg parą gnany przepędza. Sama oczywiście czuła się w tym współczesnym pociągu. A zwrot do zdawania się na „wolą Bożą," jaki pani Eliza uczyniła, obudził w niej dziwne rozczarowanie.

— Wola Boża — myślała, — trzebaby najpierw wierzyć, że Bóg zajmuje się losem człowieka... że ma czas dla każdej jednostki z milionów — niemal dodać chciała. — Zresztą i cóż ta wiara w „Bożą wolę" znaczy? Toż to jedno z wiarą w ślepe przeznaczenie: poprostu mus zgadzania się z tem co jest, co się staje, bo odrobić tego niepodobna. Juścić modlitwa i prośba wypadków nie odmienia. Błędne koło.

I przestała w tem źródle czegoś poszukiwać.

Lecz wkrótce inne wrażenie uderzyło o pozornie spokojną jej duszę.

Zaszła do pań Kermieńskich, których dom cichy i spokojny lubiła, mimo że z samą Niutą bardzo różniły się usposobieniami.

W dniu tym podwójnie odczuła rozgrzewającą atmosferę tego serdecznego otoczenia.

Powściągliwa zazwyczaj Niutka witała ją z ogromną życzliwością, od samego progu oznajmiając o „wielkiej nowinie," to jest o swych zaręczynach i niedalekim ślubie.

— Jam taka szczęśliwa, że chciałabym całemu światu opowiedzieć o tem — szczebiotała, — sama nie wiem co robić z uciechy od rana do

nocy; to tylko strapienie, że będę musiała tak daleko odjechać mamusi.

I, w obejściu i mowie zachowując zawsze coś z rozpieszczeń bardzo kochanego i kochającego, dobrego dziecka, poczęła szczegółowo opowiadać jak się poznali z panem Stefanem Górowskim, gdzie i kiedy jej się oświadczył. A następnie: że jako inżynier górniczy, zimę tylko przepędza w Petersburgu, latem zaś oddany czynnościom praktycznym, wyjeżdża w różne strony Rossyi i zabierze ją do miejscowości takiej „dzikiej, gdzie ani kościoła, ani sklepu, ani szwaczki, może nawet kucharki nie znajdzie."

— Ja też zupełnie nowe studya rozpoczęłam teraz. Poszło w kąt moje malarstwo i fortepianu ledwo czasem dotknę — mówiła, — bo wiesz, że co pomyślę, jak będę sobie z czem radzić, to nic nie wiem, no nic nie wiem! nic nie umiem! i do wszystkiego dopiero muszę się przygotowywać. A tu znów chciałabym godziny podwoić, potroić, bo mi się wydaje, że i z mamą przesiadywałam za mało, żem nie dość się z nią nacieszyła i za mało nauczyła być taką dobrą, szczęśliwą, przez wszystkich kochaną, jak ona, a ja tego chcę bardzo, bardzo.

Okoliczność tych zaręczyn, o których Ada istotnie nie wiedziała, stworzyła temat rozmowy, dziwnie oddziaływający na nią.

Zrazu wypytywała i słuchała z zamyśleniem; wreszcie podniosła się i prędko żegnać poczęła.

— Ależ Ado! czemu uciekasz? Tobie coś jest? — dodała pani Marya Kermieńska, która swem poczciwem litewskiem sercem byłaby chciała każdego przygarnąć i ukoić. — No, siądź, siądź i spowiadaj się, bo tyś smutna, nieswoja. A może i ty zaczepiłaś gdzie serce? Dalżeby ci Bóg poczciwego człowieka, któryby cię opieką otoczył!

— O, ja nie chcę! pani wie, że mojem zdaniem zawsze czas na małżeństwo — broniła się Ada, siląc na zwykłą swobodę. Lecz mimo nalegań odchodziła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



O ubiorach.

12 Maja 1896 roku.

Jak wiadomo, wystawy sztuk pięknych na polu Marsowem i polach Elizejskich są w dniach otwarcia prawdziwą wystawą wiosennych i letnich strojów. Pierwsza z tych uroczystości odbyła się 24 Kwietnia, przy pogodnem niebie bez chmury, co pozwoliło nam przypatrzeć się nowym sukniom, okrywkom i kapeluszom.

Wskażmy nasamprzód ogólny charakter dzisiejszej mody. Spódniczki gładkie do ziemi, bez podpięcia, nie mają żadnego prawie garnirunku; chyba niekiedy, łańcuszek naszyty sutaszem, lub kilka rzędów jedwabnej stebnówki, zakończa je u dołu. Przód u nich płaski, boki lekko namarszczone, tylne bryty rozniesiste, układane zawsze w rury (à godets). Wiele też widzimy sukien otwartych z przodu, na jedwabnej spódniczce w odmiennym kolorze.

Staniki w ogólności bardzo ozdobne, niekiedy fantastyczne, z innego niż suknia materyału. Przody u nich zazwyczaj otwarte, na rzęsistym plastronie z muszlinu jedwabnego. Rękawy zawsze bufiaste, mówią wprawdzie o ich zwężeniu, ale tego dotąd nie widać.

Nowość tegoroczną stanowią fryzy białe, z koronki, tiulu albo podwójnego muszlinu jedwabnego i takież mankiety u rękawów spadające na rękę. Przyklaskujemy szczerze tej modzie, nierównie wdzięczniejszej od wysokich obroży, tak ciężkich i niestosownych do letniego ubrania.

W kapeluszach przemagają okrągłe, z lekkiej ale szeroko plecionej słomki w jasnych kolorach. Forma ich rozmaita, jedne z rondkiem spuszczonem na czoło, inne podniesione w górę po bokach, wiele też widzimy okrągłych toczków bez ronda i berecików z płaską ale szeroką główką. Kapotki wiązane pod brodą służą tylko dla starszych osób.

To jedno zarzucić można tegorocznym kapeluszom, że niektóre wyglądają na kosze pełne kwiatów.

Od tych milsze dla oka, przybrane puklami z jedwabnego muszlinu lub tiulu, i bukiecikiem średniej miary.

Przejdźmy teraz do sukien, oto cały szereg całkowitych ubrań, jakie na polu Marsowem, zwróciły szczególniej uwagę naszą.

Suknia z kanwy w kolorze heliotropowym, stanik nizko wycięty, nie schodzi się wcale na przodzie. Wkoło wykroju płasko naszyta koronka biała odwinięta zębami do góry. Pod to idzie drugi wysoki stanik z materyi w blado żółtym, słomkowym kolorze, z takiemiż rękawami wielkich rozmiarów. Od kanwowego stanika, przechodzą przez ramiona szerokie epolety, mocno namarszczone.

Kapelusz do tego mały, ze słomki naturalnej szeroko uplecionej. Rondo powleczone białą koronką, nad niem pukle z atłasowej wstążki paliowej. Wtyle upięta girlanda z róż bladożółtych; z po za główki wybiega egretka z czarnych strusich piórek, pomięszanych z białą koronką.

Drugi kostium. Spódnica z jasno popielatego sukienka w srebrnym odcieniu (gris argenté). Stanik biały sukienny, z odwiniętym kołnierzem i wyłogami, otwarty na przodzie. Pod spód kamizelka biała jedwabna, spięta na rząd małych guzików z konchy, obhaftowana dokoła czarnym jedwabiem. Karoczko od tej kamizeli wybiega w tyle z pod sukiennego stanika. U szyi szeroka fryza koronkowa, z takimże samym żabotem.

Dopełnia ubrania toczek, złożony z czarnego denka, powleczonego białą koronką. Z lewego boku wpięta egretka tiulowa, przytwierdzona dwoma pąsowemi różami.

Trzecie ubranie. Suknia z szarej etaminy. Przód spódnicy, naszyty w podłuż czterema rzędami wstawki koronkowej. Od dołu przez tę wstawkę przewleczone kokardy ze wstążki błękitnej. Stanik z materyi chiné z baskiną krótką, mocno namarszczoną. Kołnierz do tego błękitny, jedwabny, zcięty w kant w formie marynarskiej, takiż pasek spięty z boku na wielką kokardę. Rękawy z materyi chiné. U szyi fryza koronkowa, od niej spada na przód stanika szeroki koniec koronkowy.

Kapelusik ze słomki błękitnej, przybrany puklami z białego tiulu i pękiem czarnych piórek strusich.

Czwarte ubranie. Suknia z etaminy blado lilla w różowawem odcieniu (mauve). Stanik gładki pod szyję, na to drugi z białej materyi surah, zupełnie wycięty, namarszczony, objęty na wykroju torsadą w formie sznura, przerabianą dżetem, na białe rękawy spadają węzły z tego sznura, zakończone kwastami. Pasek biały, naszyty w środku takąż torsadą. Powyżej ramion, od przodów do tyłu stanika, przechodzą z każdej strony trzy sznury wielkich dżetowych pereł. U szyi rzęsista rusza biała z tiulu jedwabnego.

Kapelusik do tego ze słomki lilla, bardzo lekki. Nad rondem pióra czarne i pukle tiulowe. Na karczku upięte róże w blado żółtem odcieniu.

Piąta suknia szara, z etaminy przerabianej jedwabiem. Spódnica nie odcięta od stanika, otwarta na przodzie, przymarszczona od boków. Pod to idzie spódniczka zielona jedwabna (vert de mer). Przody stanika zupełnie otwarte, dochodzą prosto do połowy piersi, ztąd okrążają ramiona i plecy. Na wykroju dana rusza z muszlinu szarego. Pod spód idzie gładki stanik zielony jedwabny, zahaftowany w rzucik czarnym jedwabiem. Rękawy bufiaste z mankietem koronkowym, takaż fryzka u szyi, podniesiona wązką obróżką. Pasek wązki, spięty na sprzączkę oksydowaną.

Kapelusik okrągły, z rondkiem nieco spuszczonem na czoło. Nad niemi pukle z zielonego tiulu i koronki, przytwierdzone dwoma dżetowemi broszami. Powyżej egretka z czarnych piórek.

Szósta suknia, czarna jedwabna, broszowana w deseń. Spódnica nie odcięta. Na stanik spada wielki kołnierz z różowej materyi, wcięty poniżej ramion, z długim zębem na przodzie i na plecach, naszyty wkoło białą gipiurą, odwiniętą w górę.

Kapelusik z białej namarszczonej koronki, przepinanej bukiecikami azalei, z lewego boku wybiega biała tiulowa egretka.

Siódme ubranie. Suknia z tkaniny jedwabnej mięszanej z jedwabiem, w kolorze lilla popielatawym. U dołu wązki szlaczek naszyty czarnym sutaszem. Po obu stronach, od stanu do połowy spódnicy, na płaskich brytach, ciągnie się dwoma rzędami taki szlaczek. Stanik otwarty z krótką ale rzęsistą baskiną. Kołnierz i wyłogi z materyi koloru złotego, ogarnirowane koronką.

Pod spód plastron, z muszlinu namarszczonego, takaż fryza u szyi. Rękawy podwójne, jedne całkiem obcisłe, na to od ramion ułożona draperya, tworzy ogromną buffę.

Kapelusik do tego mały okrągły, ze słomki blado lilla, ubrany puklami z tiulu w złotym kolorze, bukietem hiacyntów i egretką z piór czarnych.

Ósme ubranie. Suknia mieniona z materyi popielato różowej (tourterelle), gładka bez garnirunku. Stanik odmienny z lekkiej brokatelli w kolorowy deseń. Przez ramiona przechodzą szelki ze wstążki tego koloru jak spódnica, przybrane kokardami. Takiż pasek udrapowany, z wielką kokardą w tyle. Otacza szyję fryza z koronki szarej, z rzęsistym żabotem.

Kapelusik w formie berecika ze słomki zielonej plecionej wypukło, ma za całą ozdobę pę-

czek piór strusich czarnych, przytwierdzonych czarną atłasową kokardą.

Dziewiąta suknia z etaminy koloru bławatkowego. Stanik bolero, przedłużony w ząb poniżej pleców. Przody zaokrąglone. Pod spód plastron z szarego jedwabnego muszlinu. Pasek jedwabny, bławatkowy, złożony cały z plisek.

Dopełnia ubrania toczek ze słomki blado różowej, otoczony wkoło pasem z czarnej słomki fryzowanej jak pióro. Z boku wpięta egretka czarna tiulowa cała zasiana dżetem.

Dziesiąte ubranie. Suknia z blado zielonej kanwy. Cały stanik pokryty wielkim kołnierzem w formie chusteczki szerokiej na ramionach z materyi niewarowej w czarny deseń. Wkoło idzie garnirunek z szarej plisowanej grenadiny. Na przodzie u pasa zakończa chusteczkę wielka kokarda z tejże grenadiny z długo spadającemi końcami.

Kapelusz do tego ze słomki zielonej z rondem odwiniętem po bokach, przybrany gałązką białej akacyi i czarną egretką.

O okrywkach nic nowego powiedzieć nie możemy. Widać tylko peleryny z aksamitu, mory i gładkiej materyi, przystrojone fantastycznie białą albo czarną koronką i pasmanteryą z dżetem.

Rękawiczki białe ciągle się utrzymują, między niemi widzimy też jasne ze skórki duńskiej.

Parasolki małe i większe garnirują koronką tak czarną, jak szarą lub białą, zdobią je kokardami.

Seweryna Duchińska.

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Jedną z książek godniejszych uwagi ludzi myślących, jest wydana w roku ubiegłym praca Henryka Berengera p. t. „L'aristocratie intellectuelle."

Nie wdając się w rozbiór krytyczny poglądów autora, ani jednocząc z nimi w zupełności, szkic ich podajemy tutaj na użytek czytelników.

Stwierdziwszy na wstępie wzmożenie się olbrzymie w ostatnich czasach prądów idealistycznych, pośród społeczeństw cywilizowanych, przepowiada Berenger, że w niedługim czasie spłyną one wszystkie w jedną olbrzymią rzekę, która na falach swych poniesie w przyszłość nawę cywilizacyi. Idealizm zwycięży ostatecznie, i stanie się duchowym przewodnikiem ludzkości całej pod warunkiem jednak, że nie przybierze nigdy wrogiej postawy wobec trzech najważniejszych czynników współczesnego życia, mianowicie: wobec chrześciaństwa, idei demokratycznej i nauki.

Ale demokracya Berengera to nie to pojęcie, które przywykliśmy oddawna wyrazem tym oznaczać. Równość, braterstwo— demokratyczne hasła wielkiej rewolucyi, gdyby mogły kiedykolwiek wejść w życie, stałyby się podług autora „L'aristocratie intellectuelle" tamą postępu, klęską cywilizacyi. Nawet zasada głosowania powszechnego oburza go jako niedorzeczne poddanie mniejszości bardziej udoskonalonej duchowo pod panowanie większości, stojącej od niej moralnie i umysłowo niżej. Nie jesteśmy, i nie powinniśmy być równi — powiada Berenger. Wielka rewolucya usunąwszy z widowni świata arystokracyę rodową, nie potrafiła zapobiedz wytworzeniu się arystokracyi pieniężnej. Jedna i druga są już dziś anachronizmami, jedna i druga stoją w sprzeczności z duchem czasu. W przyszłości miejsce naczelne w społeczeństwach zająć musi arystokracya ducha. Ona ujmie w dłonie swe rządy świata. Uniwersytety i akademie staną się zgromadzeniami wyborczemi.

Arystokracya ducha rekrutować się będzie ze wszystkich sfer. Zdolności umysłowe i wartość moralna oto jedyne kwalifikacye, których wymagać się będzie od kandydatów do tego zastępu. Będzie to zatem instytucya demokratyczna. Gdy władzę i prawodawstwo posiądą najmędrsi i najlepsi, wówczas dopiero rzeczywisty i nieprzerwany postęp będzie mógł mieć miejsce, wówczas drogą prostą i pewną dążyć będzie ludzkość do najwyższego udoskonalenia.

Kościołowi katolickiemu, który bywał jedyną ostoją idealizmu w okresach, gdy prądy materyalistyczne brały górę, Berenger przyznałby chętnie coś w rodzaju najwyższej idealnej władzy nad światem. Chciałby widzieć w nim ogólnego kierownika prądów idealistycznych, ale kierownika wyższego ponad sekty, wyznania, obrządki. Katolicyzm pragnąłby zamienić na religię powszechną, religię duszy (une religion de l'âme) nie zasklepiającą się w dogmatach, mającą za jedyne zadanie wieść człowieka na idealne wyżyny.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach utopia francuzkiego marzyciela.

W „Revue Bleue" znajdujemy wielce trafną charakterystykę Bourget'a skreśloną piórem Pawła Monceaux. Z pośród nowszych romansopisarzy francuzkich Bourget jest u nas z pewnością najlepiej znanym. W kołach naszej inteligencyi liczy on wielu zwolenników, a zwłaszcza zwolenniczek, które niezawsze może zdają sobie sprawę z natury czaru, jaki rzuca na nie melancholijny autor „Ucznia" i „Cosmopolis." To też sądzę, że wspomniane wyżej studyum powinno zainteresować czytającą publiczność naszą.

„Jakiż to dziwny człowiek ten Paweł Bourget! — woła na wstępie Monceaux. — Filozof, który obrał sobie za specyalność tworzenie romansów; uczony, którego bawi życie wielkiego świata; myśliciel surowy, a lubujący się w zmysłowych obrazach; psycholog uparcie poddający analizie ludzi, którzy zaledwie, że posiadają coś w rodzaju duszy; moralista, usiłujący wykazać wszędzie niemoc woli; umysł silny i zdrowy, który rozrzuca dokoła nasiona chorób literackich i moralnych — doprawdy, że to zjawisko zdumiewające. Jakkolwiek wiadomo nam oddawna, że biedna natura ludzka złożona jest z samych sprzeczności, to jednak w tym wypadku trudno oprzeć się zdziwieniu, Bourget bowiem przeszedł pod tym względem wszystkich współczesnych."

W dalszym ciągu wykazuje Monceaux, że Bourget-psycholog i Bourget-moralista znajdują się w nieustającej i najwyraźniejszej ze sobą kolizyi. Jako psycholog szkoły pozytywnej, autor „Cruelle enigme" nie uważa jaźni za jakąś jedność lecz tylko za następujący po sobie kolejno szereg stanów świadomości. Dusza ludzka to dla niego mięszanina najsprzeczniejszych pierwiastków, z których to jedne to drugie biorą górę nad resztą. Wobec tego, rola psychologa ogranicza się do notowania drobnych wypadków życia psychicznego, nie w celu odtworzenia czyjegoś ja, które jest prostą abstrakcyą, lecz dla zrozumienia dramatów odgrywających się nieustannie w głębiach dusz. Bourget jako artysta nie ogranicza się na notowaniu. On wewnętrzne dramata bohaterów swoich przeżywa, cierpi nad nimi. Ztąd ból i smutek, którymi tchną jego rozpaczliwe analizy dusz. Co prawda przy pracy takiej trudno zachować pogodę umysłu. Dla filozofów tej szkoły co Bourget, świadomość jest zamkniętem ze wszystkich stron polem, na którem stają do walki namiętności nasze, przesądy wrodzone lub nabyte, najrozmaitsze siły obce nam. My zaś skazani na rolę bezczynnych widzów, z przerażeniem śledzić możemy przebieg tego boju, ale o jakiejkolwiek interwencyi z naszej strony nie powinniśmy marzyć nawet. Filozofia deterministyczna zniosła przecież zupełnie pojęcie wolnej woli.

Przy tego rodzaju wyobrażeniach trudno być wesołym, ale można być współczującym, rozumie się, jeżeli się ma skłonność wrodzoną ku temu. Bourget należał do tych, co zburzywszy w duszach swych wszystkie ołtarze, zachowali religijną cześć dla cierpienia. To zbliżyło go do chrześciaństwa, które nadto pociągało go nadawaną duszom cudowną własnością „radości w wysiłku i nadziei w walce."

Zresztą w tym sceptyku tkwił oddawna moralista. Prawdopodobnie nawet ten ostatni był starszym bratem pierwszego. W roku 1885 pisał Bourget. „W każdem zwątpieniu szczerem jest na dnie pierwiastek wiary. Brać poważnie, tragicznie prawie dramat rozgrywający się w sercach i umysłach ludzi naszego pokolenia, czyż to nie dowodzić, że wierzy się w niezmierną doniosłość zagadnień moralnych?"

Można być pewnym, że pisząc te słowa Bourget myślał o sobie, i że poczucie „nieskończonej ważności zagadnień moralnych" tkwiło w nim od pierwszych lat życia.

Posłuchajmy, w jaki sposób sceptyk ten w pięknej przemowie do swego „Ucznia" przemawia do młodzieży francuzkiej:

„...Mówiliśmy sobie, że obowiązkiem naszym jest zwrócić wam Francyę odmłodzoną po klęsce, odrodzoną przez czyn nasz publiczny i prywatny, przez słowo nasze, przez zapał nasz, Francyę na wewnątrz i na zewnątrz żyjącą nowem życiem... Młodzieńcze, wyrabiaj i hartuj w sobie dwie cnoty, dwie siły, bez których życie przechodzi w niedołęztwo i agonię: Te dwie siły to— *miłość i wola.*"

Bardzo pięknie — odpowiada Monceaux,—ale przecież to pojęcie duszy na podstawie którego zbudowane są wszystkie romanse Bourget'a, zabija wolę, wyklucza ją zupełnie z rachunku.

A miłość?... Wiemy dobrze, czem ona jest w powieściach tego autora: zmysłowością ślepą, poniżającą istotę ludzką!

Wistocie, komu nie obce są utwory Bourget'a, tego sprzeczności te musiały nieraz zastanawiać.

A nietylko w przedmowach jest Bourget moralistą. Jego powieści nie są pozbawione tendencyj. W „Uczniu" chciał wykazać groźne następstwa przystosowywania doktryn filozoficznych do życia, w „Terre Promise" pragnął dowieść, że miłość grzeszna odbiera prawo do miłości czystej, do szczęścia spokojnego i trwałego.

Niejednokrotnie malował obraz walk wewnętrznych duszy dręczonej zwątpieniem i częściowo przynajmniej nawracającej się do ideałów religijnych.

Po wiele razy oświadczał sam, że pracę swoją uważa za rodzaj posłannictwa, że w powieściach chodzi mu przedewszystkiem o wypowiedzenie szczere tego, co myśli o najważniejszych zagadnieniach moralnych swojego wieku, że chciałby pocieszać i leczyć.

Chęci moralizatorskie bez wątpienia są, ale czytelnik nie zwraca na nie uwagi, upojony wyrafinowaną zmysłowością, która wieje z kart każdego romansu Bourget'a, przytłoczony psychologią, która tłómaczy mu, że ci ludzie postąpili źle, bo inaczej postąpić nie mogli.

Wynika ztąd, że mimo moralizatorskich chęci autora, powieści jego wywierają najniekorzystniejszy wpływ na moralność czytelników. Kończąc wyjątkiem z przedmowy do „Ucznia" przeciw autorowi ich zwraca Monceaux ostrze słów: „Zważywszy to wszystko, każdy uczciwy człowiek pisząc, drżeć powinien przed odpowiedzialnością, którą ściąga na siebie."

Jakkolwiek zarzuty Pawła Monceaux wydają mi się po większej części słuszne, i żałuję, że z zajmującej pracy jego wiele ustępów pominąć musiałam, to jednak sądzę, że i on i Bourget przesadzają doniosłość wpływu, jaki książka w naszych czasach na czytelnika wywiera.

Jestem przekonaną także, że w pracach Bourget'a obok pierwiastków ujemnych znajduje się i wiele dodatnich, choćby na przykład owo współczucie dla cierpienia, którem przeniknięte są wszystkie jego utwory.

H. C.

M. R.

Drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską.

(Ciąg dalszy)

Nic mnie to jednak nie zraża; podnoszę żółtą zasuwę, otwieram, wchodzę. Wszedłszy zmierzam ku narożnikowi zajętemu tylko przez dużą, czarną torbę; z lekkim lecz uprzejmym ukłonem usuwam torbę ku środkowi, i siadam obserwując z pod oka wrażenie mojej strategii na nieprzyjacielu.

Zdziwiona niesłychanem zuchwalstwem, powstaje i woła:

— Panie, te miejsca są wszystkie zajęte...

Lokomotywa wydaje przeciągły świst, pociąg rusza. Widzę rękę ojca, który pociągnięciem za suknię nakłania ją do powrotu na poprzednio zajmowane siedzenie.

Jedziemy.

Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu. Ona schwytana na kłamstwie, zawiedziona w swoich kombinacyach, gniewnie się rumieni. Trudno moja pani, jeżeliś myślała, że Gustawa Drzewieckiego łatwo wyprowadzić w pole, toś była w błędzie. Radziłbym nawet pani wystrzegać się tego ruchu ramionami, i takich złych humorków, bo te piękności szkodzą.

Teraz już zapanowałem nad powstrzymywanym śmiechem, przybieram minę bardzo niewinną, małe swoje troczki wrzucam w siatkę wydostawszy z nich tylko dziennik dzisiejszy; zasiadam sobie jak najwygodniej, rozwijam gazetę i rozpoczynam z zajęciem, nie bez pewnej przesady, czytanie. Nie przestaję przytem obserwacyj nad moją piękną nieprzyjaciołką.

Bawi mnie ta skryta walka. Zupełnie inaczej rozwija się wątek znajomości niż myślałem.. tem lepiej... Lubię niespodzianki.

Pomiędzy trzema osobami toczy się tymczasem rozmowa, której z powodu ruchu pociągu urywane tylko słowa mnie dolatują. Mogę z nich jednak zdać sobie sprawę o położeniu rzeczy. Musi tam być jakieś małe nieporozumienie rodzinne.

Głos ojca jest zawsze słodki i łagodny, dwóch zaś kobiet ostry i stanowczy.

OJCIEC.

Ależ moje dziecko..

PANNA.

Nic nie znaczy... niegrzeczny...

OJCIEC.

Trudno... sami... cały przedział.. ty jedna

PANNA.

Nie sama... Papa... nasz mały Filek...

MATKA.

Biedny nasz Filek... uspokój się aniołku.

OJCIEC.

Jednakże... piesek... ten pan... przyzwoity.

PANNA.

Filek nie cierpi obcych... nienawidzi...

OJCIEC.

Jesteś doprawdy nierozsądna.

PANNA.

Oh! jeżeli rodzice przeciwko mnie powstaną...

Taktyka niewieścia zasadza się zawsze na napadaniu na tych, co mają najwięcej słuszności.

Młoda osoba wypowiedziawszy sporo jeszcze jakichś ostrych wymówek, zagłębia się w swoim fotelu, odwracając się prawie tyłem do ojca i matki, na których wyraźnie się gniewa.

MATKA (do męża).

Masz prawdziwy talent rozdrażniania jej do ostateczności. Ona jest samą słodyczą, ale ty sprzeciwiasz się jej we wszystkiem, o byle co nie raz.

OJCIEC.

Ja, sprzeciwiam się jej? zaręczam ci...

Biedaczysko dalej się tłómaczy, usprawiedliwia pokornie, z wyrazem takiej dobroci niczem nie zmąconej, że mnie ujmuje sobie zupełnie. Nie wiedząc o co chodzi biorę jego stronę.

Matka tymczasem niespokojnym wzrokiem wpatruje się w swoją pieszczoszkę. Ojciec przywykły widać do takich przejść odetchnął głęboko, jak się oddycha po wielkiej ulewie kiedy już można zamknąć parasol; ciemną bajową kołdrę kładzie na kolanach i obciska ją wkoło nóg, wydostaje z bocznej kieszeni okulary, które starannie wyciera i zakłada na nos, rozwija wyjęte z bocznej kieszeni „Słowo" i rozpoczyna czytanie.

Widać, że z największą przyjemnością rozkoszuje się wstępnym artykułem. Ponieważ format dziennika jest dosyć duży więc składa go w ten sposób, żeby mógł podłużne szpalty kolejno przeglądać.

— Niechże papa raz już skończy składanie i rozkładanie tej gazety, nie cierpię tego ciągłego szelestu papierem.

Moja nieprzyjaciołka upatrzyła cel w który zły jej humor mógł nareszcie uderzyć. Mierząc w niewinną ojca rozrywkę trafiała rykoszetem i we mnie, gdyż ja także pozwoliłem sobie rozłożyć „Wiek" i dopasowywać go również do swojej wygody, nie przypuszczając, by to powiększało rozdrażnienie jej nerwów.

— Ależ moje dziecię, ja muszę przeczytać dzisiejszy dziennik, bardzo tu są ciekawe rozprawy w Izbie... Ministeryum.

— Eh! co mnie to wszystko obchodzi! Izba... Ministeryum, to tylko czcze słowa.

I znów niecierpliwy ruch ramienia prawego, tego od mojej strony, i minka krzywa na tej buzi, którejby było tak ślicznie z uśmiechem. Ostre spojrzenie rzucone ku mnie, mówi mi wyraźnie, że ciężko przewiniłem i że do przebaczenia daleko.

Ale pomimo surowości tego wzroku zdaje mi się, że rozpoznaję pewną chętkę zwrócenia na siebie uwagi. Łaskawa pani, rozumiem doskonale co mówią te piękne piwne oczy, troszkę osadzone za blizko noska, który jest cokolwiek za spiczasty. One mówią:

— Czy nie mógłbyś pan być grzeczniejszym? Okazać trochę skruchy i żalu za popełnione przestępstwa? a może bym mogła zdobyć się na przebaczenie.

— Otóż nie, nie znasz mnie pani wcale! Obchodzisz się ze mną jak z bardzo zwyczajnym, pospolitym człowiekiem. Lubię zwyciężać trudności, zdobywać szańce upornie, walka mnie bawi, zajmuje, upaja. Przeciwnie zaś, zbyt łatwe zdobycze nie zachęcają mnie wcale. Zwijam się i wchodzę w siebie jak żółw w swoją skorupę.

Tak, tak moja pani! Ale oto drugie spojrzenie pełne gniewu uderza we mnie jak grom. Zakręcam tylko wąsy, moje wąsy jedwabiste płowopopielate, których mi wszyscy moi koledzy zazdroszczą; to moja odpowiedź.

Pokaż mi jakie masz wąsy, a ja ci powiem kim jesteś.

Wąsy są niezaprzeczenie zwierciadłem duszy. Tak jak kobiety bawią się zalotnie wachlarzem, tak my się bawimy wąsami.

Wąsy też wszystko wyrazić mogą co chcemy, żeby wyraziły.

Mogą być najeżone, twarde, sztywne, a mogą być także miękkie, czułe, figlarne, wojownicze, groźne, zwycięzkie.

Bywają spuszczone w dół po galijsku, podniesione w górę po węgiersku, lekko przy końcu zakręcone po polsku, proste jak u kota lub tygrysa, albo też w grajcar zwinięte jako zdradna wędka. Wąsy swoje przeprowadzić można przez wszystkie takie odmiany; ich zagięcia ostre lub miękkie, zaczepne, dumne, wyzywające, oznaczają to co w duszy naszej czujemy.

Tak, tak moja pani, nie wiesz może jeszcze co za siła jest w tej małej kępce włosów, którą po nad ustami natura nas obdarzyła łaskawie.

Tym razem, gładzę i podkręcam wąs mój lewy z lekkim odcieniem impertynencyi.

Mama naturalnie, nic tego, nie rozumie. Wyłajany papa bardzo ostrożnie odwraca dziennik na drugą stronę, czyni to z uległością dobrego dziecka, które nie chciałoby zasłużyć na nową naganę.

Wtem z koszyka stojącego na siedzeniu odzywa się przeciągłe skomlenie. Za otwarciem tajemniczej przykrywki, wyskakuje mały, czarny, kudłaty „Charles-kings." Piesek musi być niezawodnie wszystkich faworytem; wyczesany, za

fryzowany, uperfumowany, wygolony jak, co najmniej, jaki sekretarz ambasady, na czubku głowy ma pęczek czarnych loków związanych różową kokardką, w czem wygląda nader zabawnie. Pieszczoszek pozwala sobie bardzo wiele, skacze na kolana ojca rodziny, chwyta ostremi ząbkami „Słowo," szarpie i ucieka z niem w drugą, to jest w moją stronę przedziału. Papa niezadowolniony, stara się powrócić w posiadanie poważnego organu, ale piesek trzyma go mocno i gazeta rozpada się na strzępy.

Panienka śmieje się srebrnym, dźwięcznym głosikiem, z czem jej jest daleko więcej do twarzy niż z poprzednio zachmurzoną minką. Radziłbym, żeby się częściej śmiała. Nosek długi i ostry zmniejsza się wówczas widocznie.

Oho! Filek zachęcony pierwszem powodzeniem, rozpoczyną drugą wyprawę przeciwko mojemu „Wiekowi." Ma widać niezaprzeczony pociąg do gazet. Był może w poprzednim życiu dziennikarzem.

Ale ja mam żal do niego za naruszenie spokoju poczciwego ojca, i za to, że jest ulubieńcem mojej nieprzyjaciołki. Podnoszę raptem dziennik w niedościgłe sfery w chwili kiedy pies chciał go schwycić, piesek z wysokiego podskoku spada na ziemię a ja, wprawdzie lekko, ale go nogą odsuwam.

Zawstydzony upadkiem, ze spuszczoną głową zwraca się do swojej pani, ta go chwyta na ręce, przyciska do serca, gładzi, pieści, przemawia pieszczotliwemi słowy, które w odwrotnem ubliżającem znaczeniu mógłbym wziąść do siebie.

Pies odpowiada jej na to pieszczotami i, o zgrozo! liże ją po twarzy! Okropnie mnie to oburza.

Nie cierpiałem nigdy podobnych psich karesów, gdyż mam to przekonanie, że zwierzęta powinny umieć uszanować oblicze ludzkie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wpływ literatury i teatru na obyczaje.

Rozmaicie bardzo tłómaczono sobie w różnych epokach znaczenie i doniosłość wpływów jakie na umysły współczesnych wywiera literatura, teatr i dziennikarstwo. Jedni wierzą w oddziaływanie bezpośrednie, inni mówią o wpływie wzajemnym twórczości literackiej na kierunki myśli ludzkiej w danej epoce, i na odwrót: o krystalizowaniu się ducha czasu w utworach wybitniejszych; jedni gotowi utrzymywać, że literatura urabia obyczaje i stwarza wypadki — inni skłonni są ograniczać doniosłość tych wpływów do rozmiarów bardzo małoznaczących.

Tego zdania właśnie jest większość pisarzy francuskich ostatniej epoki. Pomimo, że rezygnują oni tym sposobem ze stanowiska duchowych przewodników swojej społeczności, wolą ci autorowie wyrzec się tak wysokiej missyi, byle nie przyjmować na siebie ciężkiej odpowiedzialności, jaką ona za sobą pociąga. Mistrzami dobrych obyczajów być nie chcą—nie radziby wcale, aby ich nazwano szerzycielami zgorszenia, przybrali więc postawę uczonych obserwatorów dyssekujących beznamiętnie obyczaje epoki. Wydaje im się, że jest to pozycya obronna, z której wolno im zalewać bezkarnie świat utworami sensacyjnymi, czytanymi chciwie, a już jak to tam oddziaływa, czy buduje i leczy, czy burzy i psuje — o to wolno się tym panom poprzebieranym za myślicieli, psychologów i moralistów nie troszczyć wcale. W przypadku oskarżeń, których nie szczędzą im ludzie opinii przeciwnych, mają oni swój arsenał argumentów, mają swój sofistyczny podział utworów na moralne i chociaż jaskrawe może w pomyśle, ale moralizujące w gruncie rzeczy — na niemoralne ale umoralniające.

Obaczmy jakie zdanie wypowiada w tej kwestyi Max Nordau — jakie są jego zapatrywania na oddziaływanie teatru i romansopisarstwa współczesnego na massy.

Przedewszystkiem odmawia Nordau większości utworów belletrystycznych gruntu obserwacyi sumiennej. O ile pomysł sam zawsze prawie wziętym bywa z życia rzeczywistego, o tyle okoliczności towarzyszące są powszechnie dziełem wyobraźni autora, choćby te okoliczności do gruntu zmieniać miały znaczenie faktu samego. Ztąd brak łączności między książką a życiem — ztąd dzieło wyobraźni, które o niczem nie przekonywa i niczego nie dowodzi. A tymczasem oddziaływanie książki przeczytanej a jeszcze bardziej sztuki widzianej na scenie jest zdaniem M. Nordau niezmierne. Z kogóż składa się tłum czytających i uczęszczających do teatru zapytuje ten autor?

Oto przeważnie z jednostek, które po za granicami najbliższego otoczenia o świecie i ludziach wyobrażenia nie mają najmniejszego. Taki człowiek czyta romans wysnuty z wyobraźni autora; idzie do teatru i spotyka figury, których na oczy własne nie oglądał nigdy. Tu i tam ma do czynienia z książętami z bajki i księżniczkami spadłemi z obłoków; tu i tam spotyka się z sytuacyami, których nie przeżywał sam, i teraz uczy się jak w analogicznych wypadkach postąpićby powinien, gdyby mu los w nich rolę jaką naznaczył. Jeżeli wogóle uznajemy suggestyą jako objaw niezaprzeczony, to suggestya romansu i sztuki przedstawionej w teatrze, jest jedną z najpotężniejszych, tam mianowicie gdzie umysł czytelnika czy widza doświadczeniem życiowem własnem nic temu wszystkiemu przeciwstawić nie może.

Otóż ze względu, że indywiduów o umyśle dojrzałym i równowadze moralnej w stopniu pożądanym, jest stosunkowo bardzo mało, a natomiast większość niezmierna czytelników i spektatorów składa się z jednostek przeciętnych — inteligencyi nizkiej, umysłu pospolitego — nadto z kobiet i młodzieży nie przedstawiających należytej odporności pod względem samodzielności sądu i wytrzymałości nerwów, przeto wielkiego stopnia ich wrażliwości, a tem samem podatności na suggestyą wszelką, udowadniać chyba nie potrzeba. Dzięki temu właśnie, śmiało powiedzieć można, że Paryżanka dzisiejsza jest w całości dziełem wytworzonem przez dziennikarstwo i belletrystykę współczesną. Fizycznie i intellektualnie zrobiły z niej te wpływy co chciały. Mówi, myśli, czuje, działa, ubiera się i porusza nawet, tak jak chcą autorowie najpoczytniejsi. Jest to laleczka posłuszna, której sprężynki poruszać mogą ci ludzie wedle woli. M. Nordau utrzymuje, że miał tysiące przykładów takiego przystosowywania się niewolniczego do typu wylęgłego w wyobraźni autora, a następnie rozpowszechniania się niepojętego prawdziwie manier i ruchów, które gdzieś ktoś opisał jako widziane, podpatrzone, zaobserwowane. Jeszcze powszechniejszem jest przejmowanie się niemowlęce manierą aktorki, która jakąś postać przez siebie zrozumianą interpretuje na scenie po swojemu zupełnie, a następnie wcielanie się tej maniery w życie po za sceną już, jest na bruku paryskim rzeczą codzienną. A że cała literatura belletrystyczna z bardzo nielicznymi wyjątkami, jest według M. Nordau jednym zbiorem faktów patologicznych, najgorzej obserwowanych i najopaczniej objaśnianych, przeto wynikiem musi być koniecznie stopniowe obniżenie się w massach zdrowego sądu, a w następstwie zwyrodnienie moralne.

Dziennikarstwo ma swój charakter całkowicie wyjątkowy i chorobliwy bez żadnej wątpliwości. Nowiny, które prasa podaje, są to przeważnie wypadki nieszczęśliwe, samobójstwa, morderstwa, pożary, powodzie, trzęsienia ziemi — wszystko jednem słowem co człowiek przeciętny, żyjący po za wielkiemi ogniskami ruchu raz zaledwie jeden w ciągu życia, własnemi oczyma oglądać może. I takie właśnie informowanie czytelnika wydaje się w sferach dziennikarskich rzeczą zupełnie naturalną. Według współczesnych przekonań, życie codzienne nie zawiera nic, coby zasługiwało na powtórzenie, a więc regestruje się tylko to, co jest wyjątkowem, a to właśnie żadnych innych wrażeń oprócz chorobliwych dostarczyć nie może. Doszło do tego, jak utrzymuje Nordau, że normalne życie przypominają w dziennikarstwie bu letyny z hall i targów jedynie. Musimy przecież już dzisiaj rachować się z takimi objawami, jak owa do niesłychanych rozmiarów wzrosła za dni naszych żądza skandalu, i zrozumieć jakie przyczyny ją rozbudziły; musimy rozważyć jaką metodą zdobywa sobie wziętość piśmiennictwo codzienne, nie mówiąc już o brukowem. Pośpiech w dostarczeniu wiadomości, zmniejszające się ciągle wymagania co do intellektualnego przysposobienia dziennikarskich robotników, bezwzględny brak idei w tych świstkach, wszystko to razem wzięte wytwarza atmosferę zatruwającą prawdziwie, która każdego, kto doniosłość tych wpływów sprawiedliwie ocenia, przerażać musi coraz bardziej.

Moglibyśmy i my chyba powiedzieć sobie o tem cokolwiek; na ten raz jednak poprzestaniemy na przytoczeniu opinii Maxa Nordau.

K.

Wrażliwość i odporność organizmu KOBIECEGO.

Zadziwiającem wydać się może, że pierwsze zwrócenie uwagi na różnice zachodzące między wrażliwością fizyczną kobiety i mężczyzny, równie jak stwierdzenie wyższej odporności organizmu kobiecego na ból fizyczny, zawdzięcza nauka nie badaniom fizyologów, a obserwacyi znanego włoskiego psychologa Cezarego Lombroso.

Rozumie się, że nierychło zyskało sobie to spostrzeżenie powagę pewnika naukowego, a pierwszym z lekarzy, który badaniom Lombrosa użyczył poparcia, był głośny w świecie chirurg Billroth, a za nim cały fakultet wiedeński.

Billroth po szeregu doświadczeń przyszedł do przekonania, że kobieta jest niezaprzeczenie wytrzymalszą na ból fizyczny, a doktór Carle nie waha się tej odporności nazwać zdumiewającą.

Co się tyczy wrażliwości samej, d-rowie Nicholls i Bailey po skrupulatnych próbach ogłosili rezultaty swoich badań nad wrażliwością powonienia u kobiety i mężczyzny. Według tych uczonych, mężczyzna ma zmysł powonienia o wiele doskonalszy niż kobieta, czyli że jest on o wiele od kobiety wrażliwszym pod tym względem. Jedną część kwasu pruskiego odznaczającego się charakterystycznym zapachem gorzkich migdałów, rozpuszczoną w 20,000 częściach wody zdolne jest zaledwie wyczuć przeciętne powonienie kobiece, podczas gdy mężczyzna przeciętny wykryje 1 część kwasu pruskiego rozpuszczoną w 100,000 częściach wody. Wykazuje to wrażliwość męzkiego zmysłu powonienia 5 razy wyższą.

Doświadczenia prowadzone przy pomocy algometru elektrycznego dały rezultaty takie:

	Wrażliwość fizyczna ogólna.	Wytrzymałość v. odporność.
U kobiet	90	64
u mężczyzn	95	53
u młodych dziewcząt	91	78
u młodych chłopców	95	70

Galton znajduje potwierdzenie tego prawa w niektórych zwyczajach panujących na przykład w świecie przemysłowym. Musieli, jak on utrzymuje, handlujący napojami sprawdzić niższy wogóle zmysł smaku i powonienia kobiecego, skoro do próbowania trunków używają tylko mężczyzn.

Karol Richet w dziele swojem: „L'homme et l'intelligence" stanowczo się oświadcza za niższym stopniem wrażliwości kobiecej, a doktór Feré w „Pathologie des émotions" staje zupełnie po stronie włoskiego psychologa.

Ta doktryna niedawna wywołała już dotąd całą literaturę specyalną.

Montegazza w dziele: „Fisiologia della donna," tę samą tezę przeprowadza, a według niego najwyższy nawet stopień wrażliwości danego indywiduum kobiecego nie wyklucza bynajmniej wyższego niż u mężczyzny stopnia odporności na ból fizyczny.

Ma teorya i przeciwników jednakże. Alfred Fouillée w swojej pracy „Le tempérament et le caractère" stawia wątpliwość co do owego przytępienia zmysłów u kobiety, i wyznaje, że jemu osobiście nie zdarzyła się sposobność stwierdzenia tego w praktyce.

Z drugiej strony przedsięwziął Galton w roku 1894 całą seryą doświadczeń porównawczych dotyczących wrażliwości fizycznej mężczyzny i kobiety, i przy pomocy Randalla zmierzył czułość na wrażenia dotyku u 932 mężczyzn i 377 kobiet. Próby dokonywano u jednych i drugich w okolicy szyi. Rezultaty dały zawsze stosunek: jak 6:7 albo 7:8.

W ostatnich czasach Ottolenghi ogłosił w „Revue Scientifique" rezultat swoich badań w tym przedmiocie, który obecnie jest przedmiotem rozpraw w wielu pismach specyalnych. Robił on doświadczenia na młodzieży szkół normalnych w Siennie, na uczniach i uczennicach konserwatoryum, w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych i innych zakładach naukowych. Posługując się faradimetrem Edelmana i stosując go na wierzchu dłoni zwilżonej, powiększał on stopniowo natężenie prądu, dopóki indywiduum dane nie zdradziło pierwszego uczucia świadomości, a drugą część tego doświadczenia stanowiło natężenie dalsze aż do punktu wywołania wrażenia bolesnego.

Rezultaty potwierdziły w zupełności tezę Lombrosa.

Punkt wyjścia Ottolenghe'ego był ten:

Za wrażliwość przytępioną uznał on taką, której nie budził jeszcze strumień wynoszący 30 volt — za średnią tę, która odczuwała 15—20 volt, a jako wrażliwość wyższego stopnia przyjął on to wszystko co zdradzało świadomość przy prądzie niższym niż 15 volt.

Ostateczny rezultat wykazał bezwzględną niższość kobiety na punkcie wrażliwości fizycznej.

Pod jednym względem zgadzają się wszyscy, a mianowicie, że wrażliwość uwarunkowana jest zarówno u mężczyzny jak u kobiety przez pozycyę towarzyską, do jakiej indywiduum należy i przez wiek jego.

Młodzież obojga płci ma wrażliwość fizyczną mało rozwiniętą we wszystkich stanach. Przytępienie wrażliwości jest trzy razy wyższe u dziewczynek niż u kobiet dojrzałych. Zmniejsza się stopniowo to przytępienie, a raczej wzrasta wrażliwość aż do 24 roku życia i ten właśnie wiek stanowi dla wrażliwości fizycznej maximum. Co do klas społecznych, to robotnice fabryczne mają wrażliwość niższą od kobiet warstw zamożnych, a większą w stosunku do włościanek.

Jest jednak różnica między wrażliwością na dotyk, a siłą odporności na ból fizyczny. Wytrzymałość jest bardzo zmienną u obu płci, ale w każdym razie wytrzymalszą bezwzględnie okazuje się w praktyce kobieta, i to nietylko dlatego, że jej wrażliwość jest mniejsza.

Ottolenghi przypisuje to w znacznej części łatwości z jaką kobieta ulega suggestyi w każdym rodzaju. Czy nie byłoby jednak prawdopodobniejszem tutaj odniesienie tego fenomenu do przyczyn mających źródło swoje w wyższym stopniu wytrwania i rezygnacyi, do których wychowanie zawczasu przygotowuje kobietę? Stosunek odporności na ból w porównaniu z mężczyzną wyraża się przez 230 volt: do 500. W sumie: mniej wrażliwa i wytrzymalsza jest kobieta.

Mniej wrażliwa ale bynajmniej nie, mniej czuła, a zdaje się, że tu nieporozumienie co do właściwego znaczenia wyrazu stało się przyczyną bardzo zabawnego zaniepokojenia umysłów i przykrych wyrzutów dla redaktora dwutygodnika „Revue des Revues" ze strony pań feministek. Pismo drukowało rozwiniętą teoryą Lombrosa, a panie te słały listy z obelgami, nazywając teoryą zbrodniczą i uważając ją jako zamach na godność kobiecą. Jeden list z Londynu nosił aż 100 podpisów niewieścich.

Wszystko poszło o wyraz „insensibilité," który jak widać zrozumiano jako: nieczułość.

S.

TO I OWO.

* Mglisty Londyn nie może poprzestawać na tych środkach ostrożności, które w innych miastach wielkich okazują się wystarczającymi zupełnie. Towarzystwa miejskich dróg żelaznych krzyżujących się gęsto na ulicach i przedmieściach Londynu, przy zwiększonej mgle, muszą używać ze względu na bezpieczeństwo całego zastępu strażników, którzy pilnują linii, dopóki się mgła nie przerzedzi. Ludzie ci używają do sygnalizacyi petard, których wybuchy ostrzegają maszynistę o blizkiem niebezpieczeństwie i pozwalają mu zwolnić bieg pociągu albo i wstrzymać go zupełnie, gdy zachodzi potrzeba. Podczas wielkiej mgły w Styczniu 1888 roku Towarzystwo North Western-Railway używało dziennie w tym celu 2,462 ludzi, a w ciągu roku 1890 droga South-Western potrzebowała ich 118,760.

Wogóle obciąża to niesłychanie budżet dróg żelaznych w Londynie.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA,"

Nakładem firmy Gebthner i Wolff.
Sienkiewicz, Nowelle.
Seweryn Sterling, Pielęgnowanie zdrowia.
Edmund Lepelletier, Zdrada Maryi Ludwiki.
Bolesław Prus, Grzechy dzieciństwa.
Nakładem firmy T. Paprockiego.
Gomulicki Wiktor, Zielony kajet.
Tadeusz Otawa, Pieśń Lirnika, powieść wierszem.
Paweł Guirand, Opowiadania historyczne, tłum. J. Popławski.
Lwów, Nakład księgarni polskiej.
Arcydzieła Szekspira od 57—60.
Biblioteki Romansów i Powieści Nr 17.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

TREŚĆ: A. Lange: Sonety. — St. Ariel: Ułudy, powieść współczesna (ciąg dalszy). — Korespondencya z Paryża. — Z ruchu umysłowego. — M. R.: Drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską (ciąg dalszy). — Wpływ literatury i teatru na obyczaje. — Wrażliwość i odporność organizmu kobiecego. — To i owo. — Nowe książki. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM Anatol Krzyżanowski: Galatea, powieść współczesna (arkusz 6).

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Апрѣля 1896 r. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.